

*Wszystkim zakochanym w bohaterach,
których nie powinno się kochać.
I tym, którzy odnaleźli światło nawet tam,
gdzie powinien istnieć tylko mrok.*

*Jeśli zaznacie prawdziwej miłości,
będziecie kochać już na zawsze.*

Lana Del Rey, *Dark Paradise*

Ostrzeżenie

Książka zawiera brutalne sceny, wulgarny język oraz treści przeznaczone wyłącznie dla dorosłych czytelników. W fabule pojawiają się sceny gwałtu, tortur oraz morderstw, które mogą być trudne lub wywołać dyskomfort u osób wrażliwych. Podejmowany jest także temat handlu ludźmi.

Autorka stworzyła własne uniwersum oraz zasady funkcjonowania świata mafii, mające charakter fikcyjny. Choć niektóre elementy zostały zainspirowane rzeczywistymi strukturami, przedstawione wydarzenia pozostają wytworem wyobraźni i nie stanowią odzwierciedlenia rzeczywistości ani jej usprawiedliwienia.

Nota od autorki

Ta historia nie jest o książętach ratujących księżniczki z wieży. Nie jest też o złym, skrzywdzonym chłopcu, który pod wpływem miłości staje się dobrym człowiekiem.

Opowiada o bohaterach, którzy nie zawsze potrafią odróżnić dobro od zła.

O wyborach pozostawiających blizny, które nigdy nie znikną.

O świecie, w którym granica między światłem a mrokiem rzadko bywa wyraźna.

To opowieść o miłości, która nie leczy ran ani nie naprawia przeszłości – ale daje siłę, by przetrwać jeszcze jeden dzień.

I czasem... jeśli wszystko dobrze pójdzie, kolejny po nim.

Jeżeli podczas czytania tej książki pokochacie bohaterów, których może nie powinniście kochać – witajcie po właściwej stronie mroku.

Playlista

Can't Help Falling in Love – Tommee Profitt (Cover Elvis Presley),
dark version

Toxic – 2WEI (Britney Spears Cover)

Worship – Amber Run

Wicked Game – Ursine Vulpine ft. Annaca

Secrets and Lies – Ruelle

Dark Paradise – Lana Del Rey

Love and War – Fleurie

No One Like You – J2

War of Hearts – Ruelle

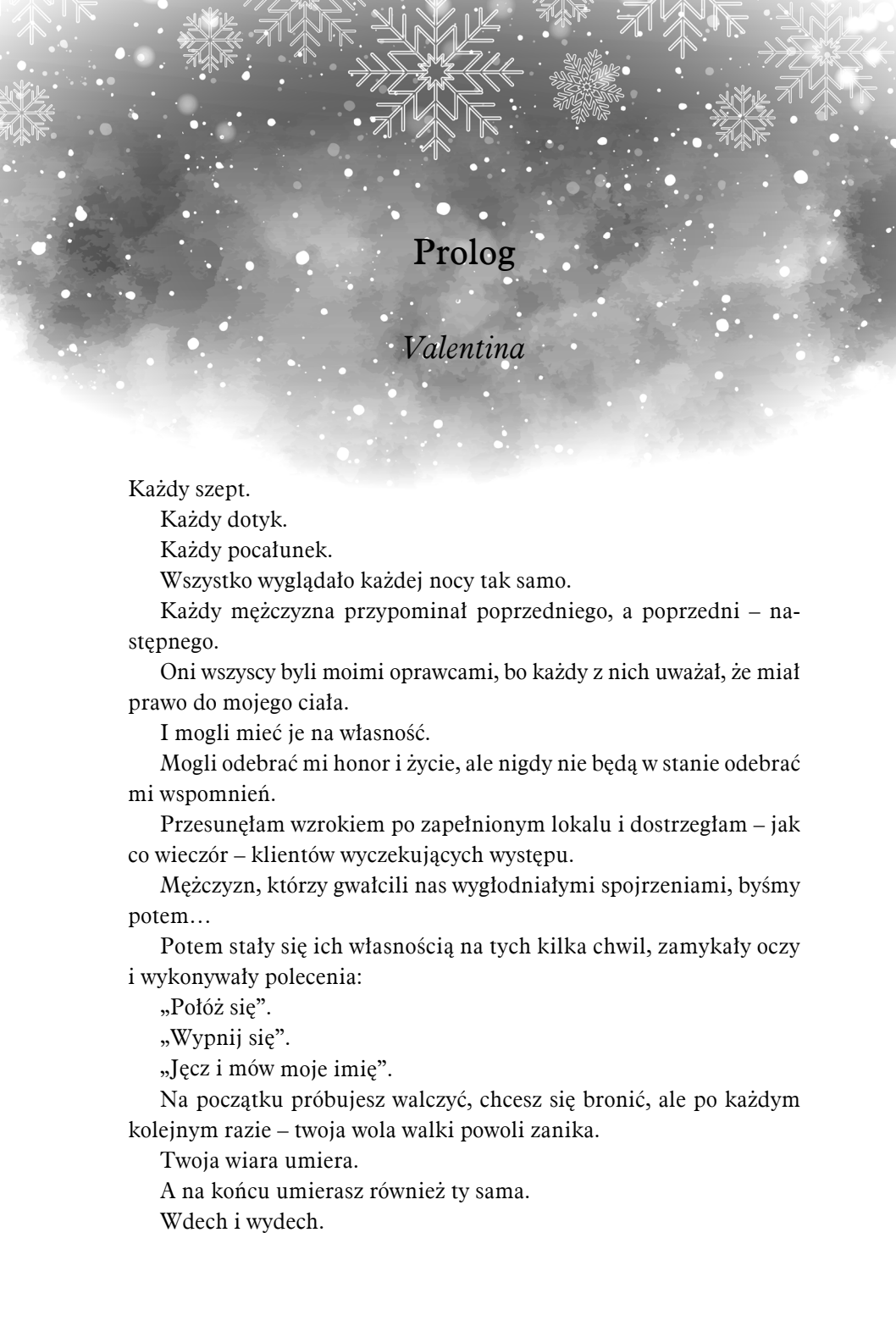
Words – Skylar Grey

Helium – Sia

Noble Blood – Fleurie x Tommee Profitt

Saints – Echos

Come Fly With Me – Ruelle



Prolog

Valentina

Każdy szept.

Każdy dotyk.

Każdy pocałunek.

Wszystko wyglądało każdej nocy tak samo.

Każdy mężczyzna przypominał poprzedniego, a poprzedni – następnego.

Oni wszyscy byli moimi oprawcami, bo każdy z nich uważał, że miał prawo do mojego ciała.

I mogli mieć je na własność.

Mogli odebrać mi honor i życie, ale nigdy nie będą w stanie odebrać mi wspomnień.

Przesunęłam wzrokiem po zapełnionym lokalu i dostrzegłam – jak co wieczór – klientów wyczekujących występu.

Mężczyzn, którzy gwałcili nas wygłodniałymi spojrzeniami, byśmy potem...

Potem stały się ich własnością na tych kilka chwil, zamykały oczy i wykonywały polecenia:

„Połóż się”.

„Wypnij się”.

„Jęcz i mów moje imię”.

Na początku próbujesz walczyć, chcesz się bronić, ale po każdym kolejnym razie – twoja wola walki powoli zanika.

Twoja wiara umiera.

A na końcu umierasz również ty sama.

Wdech i wydech.

Jeszcze jedno pchnięcie.

Jeszcze jeden cios.

Jeszcze jeden udawany orgazm i głośny krzyk, zmieszany z dławiącym płaczem, który musisz w sobie stłamsić.

Dłonie zaciskające się na piersiach. Penis wsuwający się do ust, rżnący gardło do utraty przytomności.

– Twoja kolej! – krzyknął szpakowaty mężczyzna w średnim wieku, trzymający wykałaczkę między zębami.

Poruszyłam się, a on klepnął mnie w odkryty pośladek. Nie zwracając uwagi na komentarze mijanych mężczyzn, stawiałam kroki, by w końcu dotrzeć do wyznaczonego dla mnie miejsca. Poczułam, jak uderzyło mnie w twarz ciężkie, gorące powietrze, w którym unosił się zapach seksu, potu, alkoholu i tytoniu.

Kiedy pojawiałam się na scenie, dotarły do mnie ciche gwizdy i słowa, których żadna kobieta nie powinna nigdy usłyszeć.

Ale ja dla nich nie byłam kobietą.

Byłam dziwką.

Byłam kurwą.

Byłam szmatą.

Byłam workiem z trzema otworami, w które mogli brutalnie wpychać fiuty. Mogli zrobić ze mną, co chcieli, a ja nie miałam prawa powiedzieć „nie”.

Za pierwsze „nie” dostałam z pięści w brzuch.

Za drugie „nie” miałam złamany nos.

Za trzecie „nie” miałam złamane żebra.

Pamiętam, że za którymś razem, gdy leżałam nieprzytomna, dławiąc się własną krwią, usłyszałam, że wolno się uczyć.

I w końcu się nauczyłam.

Nauczyłam się milczeć i wykonywać polecenia.

Marcello

Idealny syn, doskonały żołnierz, zimny skurwysyn i wyśmienity morderca. A do tego wszystkiego – następca pierdolonego tronu.

Jednak nie mowa o tronie królewskim, a miejscu w szeregach mafii jako przyszyły boss – następca swojego ojca.

Kiedy zabiłem pierwszy raz, miałem piętnaście lat. Od tamtej chwili ilość przelanej krwi przestała mieć znaczenie. Wielu z nas chełpiło się swoimi wynikami, jakbyśmy brali udział w pieprzonych zawodach. W pewnym sensie tak właśnie było. Z tą różnicą, że ja nie potrafiłem już zliczyć osób, które zginęły z mojej ręki.

Początkowo krzyki wszystkich ofiar odbijały się echem w mojej głowie. Budziłem się w nocy, widząc te osoby w snach. Każda z nich odbierała część mojej duszy. I trwało to tak długo, aż w końcu ona całkiem zniknęła.

Każdy krzyk.

Każdy strzał.

Wszystko wyglądało za każdym razem tak samo.

Krew spływająca po moich dłoniach przypominała tę, którą zmywałem poprzedniej nocy ze swojego ciała.

Martwe oczy, które zachodziły mgłą, gdy odbierałem życie, wyglądały jak oczy mojej ofiary następnego dnia.

Każda moja ofiara przypominała poprzednią, a poprzednia – następną.

Spojrzałem znudzonym wzrokiem na krztuszącego się własną krwią mężczyznę. Przywiązany do krzesła, splunął gęstą, czerwoną wydzieliną na swoją koszulkę.

Zabębniłem palcami w drewniany blat biurka, o które opierałem się od dłuższego czasu. Czekałem, aż facet odzyska przytomność na tyle, by móc go dalej przesłuchiwać. Zerknąłem na podpierającego ścianę Sergia, który skinął na odchodne głową, po czym wyszedł z pomieszczenia.

Przez chwilę głośna muzyka z baru mieszczącego się nad nami dotarła do moich uszu. Grymas na mojej twarzy w końcu ustąpił miejsca obojętności, gdy stanąłem na wprost złodzieja i oszusta.

Nie byliśmy święci, ale mieliśmy zasady.

Niewiele ich było, jednak jakieś istniały i staraliśmy się ich przestrzegać, a zdrajców... No cóż. Zdrajców czekała śmierć, ale zanim umarli, musieli powiedzieć wszystko, co wiedzieli.

Poprawilem podwinięte mankiety białej koszuli i zamachnąłem się, uderzając go w brzuch.

Cios za ciosem.

Zakaszłał i zaskowyczał pod nosem jak zraniony kundel.

Żalosse.

– Jesteś pewien, że powiedziałeś mi już wszystko? – zapytałem, rozmasowując knykcie prawej dłoni.

– Tak... – wycharczał.

Z trudem łapał powietrze, a ból otumaniał jego zmysły i zapewne psychikę.

Spojrzałem na nóż wbity w jego udo, a potem na zakrwawioną twarz. Prawdopodobnie już wszystko wyśpiewał, ale musiałem mieć pewność.

Pochyliłem się nad nim i chwytając rękojęść, poruszyłem ostrzem w jego nodze raz w jedną, raz w drugą stronę. Zaciśnąłem drugą dłoń na jego szyi i zmusiłem go do uniesienia głowy, by patrzył mi prosto w oczy.

– Czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze? – zapytałem stanowczo.

Jego krzyk odbijał się echem od betonowych ścian piwnicy, ale w mojej głowie brzmiał dokładnie tak samo, jak każdego poprzedniego i następnego zdrajcy.

– Błagam... – wyłkał, wijąc się z bólu na krześle. – Wszystko ci powiedziałem.

– To ja o tym decyduję – odparłem i prostując się, wyciągnąłem jednym ruchem ostrze z jego ciała. – Ale wierzę ci – dodałem, obchodząc krzesło dookoła.

Gdy znalazłem się za jego plecami, zaciśnąłem palce na spoconych, posklejanych od krwi włosach. Odchyliłem mu głowę do tyłu i przejechałem nożem po tchawicy.

Krew trysnęła z przeciętych tętnic i pobrudziła mi koszulę, a mężczyzna się zatrząsł, choć nadal był przywiązany. Zaczął krztusić się własną krwią, ale wiedziałem, że to nie potrwa już długo.

Spojrzałem na ścianę. Prześledziłem wzrokiem ściekającą po niej krew, następnie zatrzymałem się na powiększającej się czerwonej kałuży.

– Skończyłeś? – usłyszałem pytanie Sergia i w tej samej chwili do pomieszczenia wrócił Federico.

Spojrzałem na tego drugiego. Stanął w progu z dłonią zaciśniętą na metalowej klamce i przeniósł wzrok na mnie, a po chwili na prawdopodobnie już martwego faceta.

– Musisz zawsze robić tyle bałaganu? – prychnął, unosząc kpiąco brew.

Nie siląc się na odpowiedź, otarłem zakrwawione ostrze o rękaw i wsunąłem nóż w pokrowiec, który miałem przypięty do pasa. Zerknąłem ostatni raz na krzesło i powoli zacząłem rozpinąć poplamioną koszulę.

– Niech ktoś się nim zajmie – wydałem polecenie, co w sumie było zbędne, bo Fede doskonale wiedział, co trzeba zrobić z trupem i jak się go pozbyć, żeby nikt nie zadawał pytań.

Odrzuciłem w kąt ubranie i podszedłem do umywalki, by opłukać dłonie, na których pozostała krew mężczyzny.

– Kurwa – odezwał się Sergio, przystając obok Fede. – Ale zrobiłeś syf.

– Gorzej było, jak wybebeszył kolesia za donoszenie Moralesowi – prychnął Federico, wspominając z uśmiechem tamto wydarzenie.

Nie skomentowałem ich zachowania. Narzuciłem na spięte ramiona czystą koszulę, ponieważ zawsze jakaś zapasowa wisiała w szafie, i popatrzyłem na nich, powoli zapinając guziki.

– A ty się dziwisz, że mówią na ciebie Angelo Della Morte¹ – mruknął Sergio, szturchając głowę denata.

– Mówią tak po tym, jak mu totalnie odwaliło i wyrznął wszystkich ludzi Callegara – wspomniał Fede, spoglądając na mnie pytająco. – Ile lat temu to było?

– Cztery – wychrypiałem, pamiętając dokładnie datę i tę noc.

Choćbym chciał, nie umiałbym zapomnieć. I choć lista moich grzechów z dnia na dzień stawała się coraz dłuższa, to i tak to jedno wydarzenie pamiętałem wyraźniej od innych.

– Totalnie ci wtedy odjechało.

¹ *Angelo Della Morte* (wł.) – anioł śmierci (wszystkie przypisy pochodzą od autorki).

– Nadal uważam, że Anioł Śmierci to przesadzona ksywka – mruknąłem, zakładając szelki z kaburą na broń. – Sprzątnijcie to – dodałem, a następnie wyszedłem jak gdyby nigdy nic.

Niewielu wiedziało, jaki był prawdziwy powód brutalnego wyrznięcia ludzi Callegara w jego melinie. Mogłem obejść się z nimi łagodniej, ale to tamta noc mnie zdefiniowała. To tamta rzeź, której się dopuściłem, pociągnęła za sobą lawinę konsekwencji i zmian w moim życiu.



Rozdział 1

Marcello

Przeszłość. Siedem lat wcześniej. Czerwiec 2013 roku

W domu Vita Colettiego panował ten rodzaj gwaru, który zawsze zwiastował interesy. Mężczyźni stali w niewielkich grupach, rozmawiając półgłosem. Nieliczne przebywające tu kobiety plotkowały między sobą, starając się jakoś zabić czas. Łód w kieliszkach z bursztynowym alkoholem stukiał przy każdym geście.

To nie było spotkanie rodzinne, choć starano się, by właśnie takie pozory stwarzało.

Stałem przy jednym z okien, z dłonią wsuniętą do kieszeni spodni, kiedy ją zobaczyłem. Pierwsza myśl, która pojawiła się na jej widok, była szybka, prosta i... nieprzyjemna.

Dziecko.

Siedziała na jednym z foteli, zbyt dużym jak na jej drobną sylwetkę, ze złączonymi kolanami i dłońmi splecionymi na spódnicy. Rozglądała się po salonie uważnie, ale nie uczestniczyła w rozmowach. Jakby wiedziała, że nie jest ich częścią. I raczej nie chciała, by kiedykolwiek się to zmieniło. Niestety, nie miała na to wpływu.

Valentinę Coletti znałem chyba od zawsze. Nigdy nie rozmawialiśmy, nie byliśmy znajomymi ani nic z tych rzeczy, ale wiedzieliśmy o swoim istnieniu. Od jakiegoś czasu również wiedziałem, że nasze rodziny mają zostać połączone, a mimo to wciąż mierzył mnie jej wiek.

Czternaście lat.

Nawet gdybym tego nie wiedział, i tak bym się domyślił. Wystarczyło na nią spojrzeć... Na jej twarz jeszcze pozbawioną ostrych rysów.

Spojrzenie – czujne, ale niepewne. I ciało... To było ciało dziecka, nawet nie nastolatki.

Kurwa.

– To ona – odezwał się mój ojciec, stając obok mnie.

Skinąłem głową, bo co miałem powiedzieć? Że dobrze o tym wiem, bo widywaliśmy się już wcześniej na pogrzebach, ślubach i innych uroczystościach?

Wolałem to zachować dla siebie. Wystarczyło, że patrząc na nią, czułem nieprzyjemny ucisk w żołądku.

To było... obłeśne.

Nie ona. Sytuacja.

Myśl, że ktoś mógł spojrzeć na to dziecko i pomyśleć: „dobra partia” albo potraktować je jak kartę przetargową. Jak przyszłą żonę. Jak ciało, które z czasem „dojrzeje”. Wzdrygnęło mnie na samą myśl o tym, że w innym układzie dostałby ją jakiś trzydziestoletni, a może czterdziestoletni żołnierz. Facet, który miał na swoim koncie więcej przelanej krwi niż lat względnie przyzwoitego życia. Odwróciłem wzrok, zaciskając zęby.

– Marcello! – zawołał nagle Vito, pojawiając się przed nami jak duch. – Chodź. Powinniście się oficjalnie poznać.

Chciałem kazać mu spierdalać. Jemu i swojemu ojcu, ale choć było mi jej żal, nie mogłem nic z tym zrobić. Ja też musiałem grać kartami, które mi dano.

Niechętnie przeszedłem przez salon, mijając mężczyzn, którzy skinęli mi głowami. Dobrze wiedzieli, że jeśli dożyją, nastaną czasy, gdy zastąpię swojego ojca i to ja będę ich bossem. Tylko dlatego zachowywali się tak, jakbym coś dla nich znaczył, choć byłem w ich oczach jeszcze zwykłym gówniarzem.

– To moja córka, Valentina – powiedział Vito, ruchem ręki skłaniając dziewczynę do wstania.

Spojrzałem na nią. Z bliska wyglądała na jeszcze młodszą.

– Miło mi – odezwała się cicho.

Głos miała spokojny. Za spokojny jak na swój wiek.

– Marcello – odparłem krótko, choć pewnie dobrze znała moje imię. Mało kto go nie znał, ale nie wiedziałem, co innego powinienem w takiej sytuacji powiedzieć.

A ponieważ żadne z nas już się nie odezwało, wtrącił się Vito:

– Jest cicha – zauważył. – To dobra cecha – powiedział to w taki sposób, jakby próbował mi opchnąć używany samochód, a nie planował wydać za mąż swoją jedyną córkę.

Nie odpowiedziałem. Zbyttno skupiłem się na dłoni, którą położył na jej ramieniu. A dokładniej na jej reakcji na ten gest... Na tym, jak nieznacznie się spięła, ale mimo widocznego dyskomfortu się nie poruszyła. Nie mogła, bo tego została nauczona. Co by się nie działo, miała być posłuszna. Teraz ojcu, w przyszłości mężowi, czyli... mnie.

– Valentino, może zaprowadź Marcella do jadalni, niedługo podadzą do stołu – zaproponował, ale słychać było w jego głosie, że nie przyjmie odmowy.

– Oczywiście – zgodziła się cicho, niemal z rezygnacją.

Ruszyła pierwsza. Ja szedłem krok za nią. Korytarz był długi i słabo oświetlony. Na ścianach wisiały stare fotografie mężczyzn, którzy dawno nie żyli.

Oboje milczeliśmy. Nie wiem, czy faktycznie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, czy zwyczajnie sytuacja okazała się na tyle nienaturalna i chora, że to nas przerosło. Co prawda Valentina oficjalnie jeszcze nie wiedziała o tym, że została mi przyrzeczona, ale z pewnością coś przeczuwała.

Nagle zwolniła, jakby poczuła się nieswojo, ale zatrzymała się dopiero przy drzwiach do jadalni. Wtedy odwróciła w moją stronę.

– To tutaj. – Wskazała dwuskrzydłowe drzwi. – Jeśli niczego nie potrzebujesz, to ja już pójdę – dodała cicho.

Skinąłem głową, a ona powoli odeszła. Odprowadziłem ją wzrokiem w głąb korytarza i przez chwilę zastanawiałem się, czy powiedzieć coś jeszcze. Ostatecznie jednak milczałem.



Sierpień 2013 roku

Zobaczyłem ją ponownie dwa miesiące później.

Cmentarz był pełen ludzi, choć panowała na nim cisza. Mężczyźni w czarnych garniturach rozmawiali półgłosem, a kobiety jak zwykle trzymały się nieco z boku. Pachniało wilgotną ziemią i kwiatami, których nikt nie przyniósł z potrzeby serca, lecz jedynie z obowiązku.

Valentina stała nad grobem, ubrana na czarno, z opuszczoną głową i dłońmi splecionymi przed sobą dokładnie tak samo, jak wtedy w salonie jej ojca. Jakby to była jedyna pozycja, w której czuła się bezpiecznie. Tym razem zabrakło muzyki, rozmów i alkoholu. Zamiast tego panowała tylko cisza, w której wszyscy udawali, że śmierć jest czymś normalnym.

– Szkoda chłopaka – odezwał się ktoś obok mnie.

Nie spojrzałem w jego stronę, tylko przytaknąłem.

Ojciec stał kilka kroków dalej. Rozmawiał przyciszonym głosem z Vitem i Cesarem. Ton był zbyt rzeczowy jak na pogrzeb. Jakby omawiali dostawę towaru, a nie zamykali czyjeś życie w drewnianej skrzyni.

– Trzeba będzie uzupełnić lukę – rzucił ojciec.

– Znajdzie się ktoś odpowiedni – odpowiedział Cesare bez wahania, co Vito natychmiast poparł.

Oderwałem od nich wzrok i skierowałem go na kompletnie niepasującą tutaj dziewczynę. I wtedy ona również na mnie spojrzała.

Krótko. Jakby chciała jedynie się upewnić, że nadal tu jestem. Nie zauważyłem w tym spojrzeniu ani ciekawości, ani strachu. Raczej cichą świadomość, że znów znaleźliśmy się w tym samym miejscu, choć żadne z nas tego nie planowało.

Skinąłem głową.

Niemal niezauważalnie to odwzajemniła, po czym znów spuściła wzrok na trumnę, która powoli znikwała pod warstwą ziemi.

Nie podszedłem do niej.

Ona też nie ruszyła się z miejsca.

Tamtego dnia nie powiedzieliśmy do siebie żadnego słowa.

Rozdział 2

Valentina

Maj 2014 roku

Ogród był jedynym miejscem, w którym mogłam oddychać.

Dom mojego ojca zawsze tętnił życiem – rozmowami, śmiechem, stukaniem kieliszków i ciężkimi krokami mężczyzn nienależących do świata dzieci ani kobiet. Pachniał cygarami, alkoholem i czymś jeszcze... Czymś, czego nie umiałam nazwać, ale co od najmłodszych lat budziło we mnie niepokój.

Tutaj było inaczej.

Powietrze okazało się chłodniejsze, pachniało nocą i wilgotną ziemią. Kiedy wymknęłam się na zewnątrz, zsunęłam buty i stanęłam bosymi stopami na trawie. Zamknęłam oczy. Przez chwilę mogłam udawać, że jestem zwyczajną dziewczyną. Taką, która nie została nikomu przyrzeczona, zanim nauczyła się podejmować własne decyzje.

– Wszystko dobrze?

Drgnęłam, ale nie odwróciłam się od razu. Rozpoznałam jego głos. Marcello.

– Tak, po prostu tu jest ciszej – odparłam po chwili. – W domu boli mnie głowa.

Usłyszałam szelest kroków i poczułam, jak mężczyzna staje obok mnie, zachowując wyraźny dystans. Zawsze tak robił. Jakby bał się przekroczyć jakąś niewidzialną granicę.

– Ojciec cię szukał – odezwał się. – Ale powiedziałem, że po ciebie pójde, bo pewnie jesteś w ogrodzie.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego ukradkiem. Starszy. Wyższy. Spokojniejszy niż chłopcy, których znałam. W jego twarzy nie było nic z beztroski – raczej coś twardego, ukształtowanego przez świat, do którego ja dopiero zaczynałam zaglądać.

– Dziękuję – mruknęłam.

Zapadła cisza. Taka, która nie wydawała się niezręczna. Raczej... bezpieczna, ale to nie pierwszy raz, gdy po prostu milczeliśmy w swoim towarzystwie. Przez ostatni rok spotykaliśmy się podczas różnych uroczystości. Nie rozmawialiśmy wtedy zbyt wiele, choć wiedziałam, że to, co dziś się wydarzyło, w końcu nastanie. Nikt mnie o tym nie uprzedził, ale byłam spostrzegawcza. Nie bez powodu ojciec raz czy drugi niemal kazał mi trzymać się blisko Marcella. Nagle zaczął zwracać uwagę na mój „zbyt dziecinny” wygląd. Umiałam dodać dwa do dwóch. Wniosek był jeden. W przyszłości – pewnie niedalekiej – miałam zostać oficjalnie przyrzeczona Marcellowi de Angelisowi, synowi Giovaniego, obecnego bossa New Jersey.

I ten dzień w końcu nadszedł.

– Nie musisz tu stać – szepnęłam. – Nie ucieknę. Zresztą chyba nie powinniśmy być tu sami. Potem ktoś jeszcze będzie gadać jakieś głupoty – dodałam lekko zmieszana, bo samo insynuowanie, że między mną a nim mogłoby kiedykolwiek do czegoś dojść, wydawało mi się absurdałne.

Uniósł brew i spojrzał na mnie z ukosa.

– Nie boję się plotek – odparł.

– Plotki rodzą konsekwencje – zauważyłam cicho.

– Ich też się nie boję, a ty nie musisz się niczym martwić.

Uśmiechnęłam się blado.

Domyślałam się, że chciał mi w ten sposób dodać otuchy. Może nawet zapewnić, że nic mi przy nim nie grozi, ale dlaczego miałabym mu zaufać?

– To dziwne – odezwałam się w końcu, całkiem zmieniając temat.

– Decydują o nas, za nas. Nie możemy nic poczuć i sami wybrać, z kim chcemy być.

– To nie dziwne – odpowiedział bez wahania. – To normalne.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem.

– Normalne?

– W tym świecie – sprecyzował. – Normalność w tym świecie wygląda inaczej, Valentino.

Zamilkłam. Nie chciałam się z nim spierać. Zresztą... miał rację. Już dawno przestałam wierzyć, że moje życie będzie należało do mnie.

– A ty? – zapytałam po chwili. – Tobie to ani trochę nie przeszkadza?

Odwrocił głowę i spojrzał przed siebie na rząd drzew rosnących przy murze posesji.

– Nie. I bezcelowe jest myślenie o czymś, na co i tak nie mamy wpływu – powiedział spokojnie.

Może jego słowa powinny mnie choć odrobinę zaboлеć, bo pokazywały brutalną prawdę o tym, w jakim świecie przyszło nam żyć. Zamiast tego jednak poczułam coś innego. Ulgę.

Niczego nie obiecywał.

Nie kłamał.

I nie próbował mi wmawiać, że czern jest bielą, a połączenie naszych rodzin to jakiś zaszczyt.

– Dobrze – wyszeptałam.

Spojrzał na mnie ponownie.

– Co?

– Dobrze, że jesteś szczery.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że coś mignęło w jego oczach. Coś, czego nie umiałam jeszcze nazwać. Ale zaraz potem jego twarz znów stała się spokojna, niemal obojętna.

– Powinnas wracać – stwierdził w końcu, patrząc wprost przed siebie.

Przytaknęłam. Zanim jednak zrobiłam krok w stronę tarasu, odezwałam się jeszcze raz:

– Marcello?

– Tak?

Zawahałam się.

– Cieszę się, że mimo wszystko to ty.

Nie odpowiedział od razu. Stał nieruchomo, z rękami wsuniętymi do kieszeni spodni.

Kiedy po chwili skinął głową, odetchnęłam z ulgą. To mi wystarczyło.

Wróciłam do domu osobno.

Ja pierwsza, a on kilka kroków za mną, jakby to było zupełnie przypadkowe.

I choć przez resztę wieczoru się do mnie nie zbliżył, miałam nieodparte wrażenie, że nie musiałam już oglądać się przez ramię. Nikt nie

zwracał na mnie uwagi ani nie próbował na siłę wciągnąć mnie w rozmowę. Mogłam po prostu... być. I czułam, że w jakiś sposób to jego zasługa.

Chyba właśnie od tego spotkania podświadomie zaczęłam szukać go wzrokiem na każdej uroczystości.



Do czasu oficjalnego ogłoszenia, że zostałam przyrzeczona Marcellowi, nie widywaliśmy się sam na sam. I choć tak naprawdę nadal nie powinniśmy, były pewne sprawy, które należało wspólnie ustalić – choć nie pozostawiano nam przy tym zbyt wiele swobody ani wolnej woli.

Większość załatwiali między sobą nasze rodziny, a samą organizacją imprezy zaręczynowej miały zająć się żony żołnierzy Giovanniego. W normalnych okolicznościach zatroszczyłyby się o to pewnie nasze matki, ale los sprawił, że żadne z nas jej przy sobie nie miało.

Kilka tygodni później zostałam dostarczona niczym przedmiot do posiadłości rodziny de Angelis, gdzie czekał na mnie Marcello oraz ich gosposia, pełniąca tego dnia funkcję przyzwoitki.

Stety lub niestety, od kiedy skończyłam czternaście lat, nie mogłam przebywać sam na sam z mężczyzną, nawet jeśli był nim mój przyszły narzeczony. A kiedyś również mąż.

Przejechaliśmy przez strzeżoną bramę, a później jeszcze chwilę jechaliśmy wybrukowaną drogą pod główne wejście domu. Choć sam budynek tak naprawdę bardziej przypominał willę jakiejś hollywoodzkiej gwiazdy. Jak to pozory potrafią mylić.

Bez słowa wysiadłam z auta, gdy tylko drzwi się przede mną otworzyły. Skinęłam głową w podziękowaniu, czego w sumie ode mnie nie wymagano, ale mama – gdy jeszcze żyła – wychowała mnie tak, a nie inaczej. Ojciec przejmował się zupełnie innymi rzeczami...

W każdym razie, gdy tylko przekroczyłam próg, gosposia od razu kazała mi zdjąć płaszcz i oznajmiła, że Marcello powinien zjawić się lada moment. Stałam nieruchomo, bo nie za bardzo wiedziałam, co powinnam ze sobą zrobić. Kobieta zniknęła gdzieś z moim płaszczem, a ja zostałam sama, stojąc pośrodku przestronnego pomieszczenia i czekając... Właściwie nie byłam pewna na co. Aż przyjdzie po mnie Marcello? Aż wróci gosposia i gdzieś mnie skieruje?

Zanim zdążyłabym pomnożyć wszystkie niewiadome, jakie krążyły po mojej głowie, usłyszałam huk. Drzwi po drugiej stronie holu gwałtownie się zatrzasnęły.

Z walącym sercem spojrzałam tam i wtedy go zobaczyłam.

Marcello.

Gdy tylko mnie zauważył, zamarł.

– Kurwa – zaklął pod nosem.

Dopiero wtedy zauważyłam krew. Ciemne plamy na jego koszulce. Zasnęte ślady na dłoniach i nadgarstkach. Coś ścisnęło mnie w żołądku.

Przez krótką chwilę patrzył na mnie tak, jakby czegoś szukał. Albo jakby próbował się upewnić, że naprawdę tu stoję, a nie jestem tylko jakimś urojeniem. Przynajmniej tak mi się wydawało, bo nie potrafiłam w pełni odczytać emocji, które przemknęły przez jego twarz.

– Zaraz wrócę – rzucił szorstko.

Ruszył przed siebie szybkim krokiem, nawet na mnie nie spoglądając, i zniknął na schodach, zanim zdążyłam otworzyć usta.

Dopiero wtedy się zorientowałam, że przez cały ten czas stałam z zacisniętymi pięściami. A do tego wszystkiego drżałam. Wiedziałam, czym zajmowały się nasze rodziny. Wiedziałam, że krew jest częścią tego świata, ale nigdy wcześniej jej nie zobaczyłam – nie w ten sposób. Nie tak blisko.

– Proszę do salonu – odezwała się w końcu gosposia, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Skinęłam głowę, choć czułam się rozbita i wciąż walczyłam z mdłościami. Przeszliśmy kilka kroków, gdy gosposia ponownie spojrzała na mnie uważnie, jakby próbowała ocenić, w jakim jestem stanie.

– Czy życzy sobie pani czegoś do picia? – zapytała uprzejmym, wyćwiczonym tonem.

Zawahałam się, a potem przytaknęłam.

– Herbaty. Jeśli można.

– Oczywiście.

Zniknęła na chwilę, a ja zostałam sama w salonie, który był zbyt duży i zbyt cichy. Usiadłam na brzegu kanapy i spłótłam dłonie na kolanach. Serce wciąż biło mi za szybko, a żołądek pozostawał ściśnięty, jakby mój organizm nie do końca rozumiał, że zagrożenie już minęło.

Choć czy tak naprawdę cokolwiek mi groziło? Wiedziałam, czym mógł zajmować się Marcello. W końcu kiedyś ma zostać bossem, a to nie mogło się stać tylko za sprawą nepotyzmu. Musiał też zapracować na poparcie.

A w mafii na szacunek nie pracuje się słowami, tylko krwią. Dlaczego więc, choć zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawę, nie odczuwałam strachu? Tak, byłam przerażona. Obrzydzały mnie widok krwi i przemoc, ale nie bałam się o swoje życie. Nie gdy chodziło o Marcello, choć przecież tak naprawdę wcale go nie znałam...

Po kilku minutach gospościa wróciła i bez słowa postawiła przede mną filiżankę. Para unosiła się nad naczyniem, a ja, jak zahipnotyzowana, wpatrywałam się w nie, nawet nie próbując po nie sięgnąć. Kobieta wyszła i znów zostałam sama, ale nie trwało to długo. Po zaledwie kilku, może kilkunastu sekundach usłyszałam kroki.

Podniosłam wzrok dokładnie w tym momencie, gdy do salonu wszedł Marcello.

Był już czysty. Koszulę miał świeżą, bez najmniejszego śladu krwi, a włosy wilgotne, jakby dopiero co wyszedł spod prysznica. Kiedy przeszedł obok mnie, poczułam zapach żelu i perfum – znajomy, ale teraz wyraźniejszy, intensywniejszy. Przełknęłam ślinę, uważnie śledząc każdy jego ruch, choć nie byłam pewna, dlaczego to robię.

Usiadł naprzeciwko mnie.

Przez moment milczeliśmy.

Odchrząknął, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Jakby się stresował, choć to przecież niemożliwe. To by okazało się... dziwne. I z pewnością nie pasowało do obrazu chłopaka, którego widywałam na tych wszystkich uroczystościach. Spokojnego. Opanowanego. Niedostępnego.

– Przepraszam, że czekałaś – odezwał się w końcu. – Myślałem, że mam jeszcze chwilę i dlatego... – Urwał, wyraźnie zniecierpliwiony własnymi słowami.

Nie spojrzał na mnie, gdy to mówił.

– Nie powinnaś tego widzieć – dodał po chwili ciszej.

Palce same zacisnęły mi się na materiale sukienki. Wzięłam krótki wdech.

– Nie jestem dzieckiem – powiedziałam cicho. – Wiem, czym się zajmujesz. Czym wszyscy się zajmujecie.

W końcu uniósł na mnie wzrok. Jakby poraziły go moje słowa i musiał się upewnić, że to ja je wypowiedziałam. I przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że chce coś powiedzieć. Ale zamiast tego tylko skinął głową i znów zapadła cisza.

Nie była komfortowa. Ale nie była też wroga.

Sięgnęłam po filiżankę, choć dłonie wciąż mi drżały. Herbata, choć gorąca i parząca usta, pozwoliła mi skupić się na czymś innym niż na napięciu wiszącym między nami.

– Może... – zaczął, po czym znów się zatrzymał. – Powinniśmy przejść do tego, po co się spotkaliśmy.

To nie było pytanie, ale i tak przytaknęłam w odpowiedzi.

Powoli i po kolei ustalaliśmy wszystko, co znalazło się na liście, którą miał przed sobą Marcello. Nie wiedziałam, kto przygotował mu te zagadnienia, ale byłam tej osobie za to wdzięczna. Dzięki temu wszystko przebiegło sprawnie i zaskakująco szybko. Chyba oboje chcieliśmy mieć to jak najszybciej za sobą.

Większość rzeczy i tak pozostawała mi obojętna. Daty, nazwiska, miejsca – wszystko zlewało się w jedno pozbawione emocji tło. Kiwałam głową, gdy trzeba, odpowiadałam krótko, kiedy zadawał mi jakieś otwarte pytania, w których nie mogłam ograniczyć odpowiedzi do „tak” lub „nie”.

Gospoia co jakiś czas zaglądała do salonu, pod pretekstem dolania herbaty albo starcia kurzu. Za każdym razem jednak mierzyła nas czujnym spojrzeniem, jakby spodziewała się przyłapać nas na gorącym uczynku. Jakby samo przebywanie w jednym pomieszczeniu było już wykroczeniem.

W końcu wszystko mieliśmy omówione.

Równo za osiem miesięcy i trzynaście dni miały się odbyć nasze zaręczyny.

Zostały już tylko przymiarki sukni i garnituru, ale tym mogliśmy się już zająć oddzielnie, bez spotykania się. Wyglądało na to, że to spotkanie było jedynym, na jakie nam pozwolono, i że zobaczymy się ponownie dopiero w dniu zaręczyn.

Kiedy gospoia ponownie zniknęła, otworzyłam usta, by się odezwać. Chciałam poprosić, by kierowca, który mnie tu przywiózł, zabrał mnie teraz do domu. Marcello okazał się jednak szybszy.

– Odwiozę cię – oznajmił, wstając z miejsca.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedziałam cicho, niemal z lekkim zawstydzeniem, bo odniosłam wrażenie, że insynuuję mu coś niewłaściwego.

– Dlaczego? – spytał, jakby naprawdę nie wiedział.

I może faktycznie dla niego było to głupie. Miałam piętnaście lat, z pewnością nie widział we mnie swojej przyszłej narzeczonej. Prawdopodobnie w ogóle nie widział we mnie dziewczyny. Choć dzieliły nas tylko trzy lata, zdawało się, że przepaść między nami była ogromna. Byłam w jego oczach zapewne tylko małą dziewczynką i nie wiedziałam, czy kiedykolwiek zobaczy we mnie coś więcej. Jednak zasady były jasne. Gdyby mój ojciec się dowiedział, że przebywałam z Marcellem sama – gdziekolwiek, nawet w aucie – wpadłby w szal. Wołałam nawet nie myśleć o plotkach, które natychmiast by się pojawiły.

Oczywiście problem nie stanowiło to, że Marcello był sam z jakąś kobietą, ale to, że ja – dziewczyna, która miała zachować czystość do ślubu – zostałam sama z jakimś chłopakiem czy mężczyzną. Nawet jeśli tym kimś byłby Marcello.

– Bo to niewłaściwe.

Wstałam, unikając jego wzroku, choć czułam na sobie cały czas jego uważne spojrzenie. Nerwowo zaczęłam bawić się palcami.

– Niewłaściwe... – powtórzył szeptem. – Myślisz, że będziesz bezpieczniejsza z żołnierzem, który, gdyby nie ryzyko kulki w łeb, przeleciałby cię, nie patrząc na twój wiek, czy ze mną?

Na jego dość obrazowe pytanie przełknęłam ciężko ślinę.

– Chcę, żebyś była bezpieczna, Valentino – dodał po chwili, gdy dostrzegł, że zaskoczył mnie swoim pytaniem.

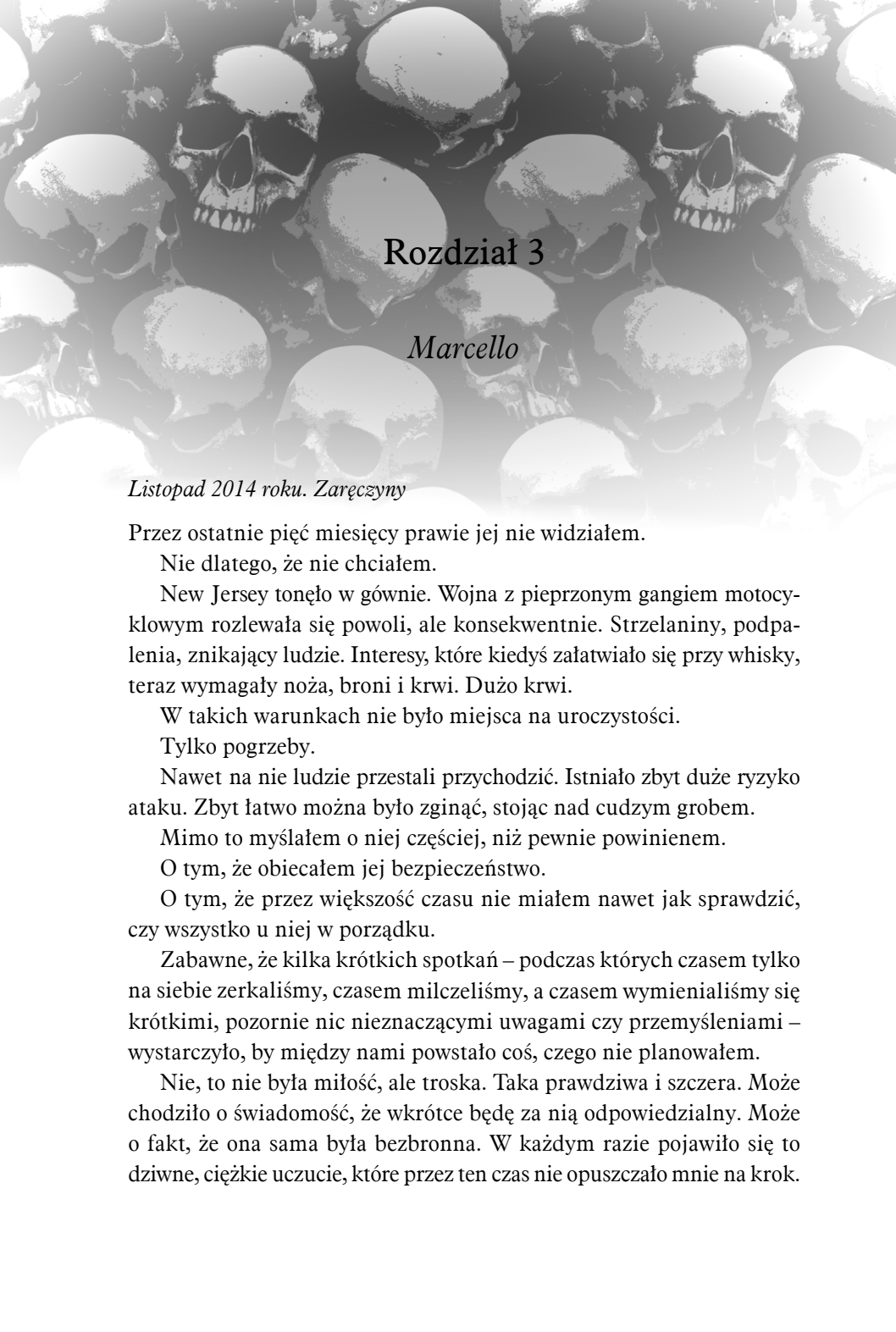
– Zwyczajnie nie chcę, żebyśmy mieli problemy – wydusiłam z siebie.

Czułam, że lepiej będzie się poddać.

– Obiecuję, że nie będziesz ich miała – odparł i nie wiem dlaczego, ale coś w jego głosie sprawiło, że mu uwierzyłam.

Spojrzał na mnie i wyciągnął dłoń.

Zawahałam się tylko przez sekundę, po czym nieśmiało ją ujęłam. Moje serce zabiło mocniej. To był pierwszy raz, gdy w jakikolwiek sposób się dotykaliśmy, nie licząc podania dłoni na powitanie wśród innych ludzi.



Rozdział 3

Marcello

Listopad 2014 roku. Zaręczyny

Przez ostatnie pięć miesięcy prawie jej nie widziałem.

Nie dlatego, że nie chciałem.

New Jersey tonęło w gównie. Wojna z pieprzonym gangiem motocyklowym rozlewała się powoli, ale konsekwentnie. Strzelaniny, podpalenia, znikający ludzie. Interesy, które kiedyś załatwiała się przy whisky, teraz wymagały noża, broni i krwi. Dużo krwi.

W takich warunkach nie było miejsca na uroczystości.

Tylko pogrzeby.

Nawet na nie ludzie przestali przychodzić. Istniało zbyt duże ryzyko ataku. Zbyt łatwo można było zginąć, stojąc nad cudzym grobem.

Mimo to myślałem o niej częściej, niż pewnie powinienem.

O tym, że obiecałem jej bezpieczeństwo.

O tym, że przez większość czasu nie miałem nawet jak sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

Zabawne, że kilka krótkich spotkań – podczas których czasem tylko na siebie zerkaliśmy, czasem milczeliśmy, a czasem wymienialiśmy się krótkimi, pozornie nic nieznaczącymi uwagami czy przemyśleniami – wystarczyło, by między nami powstało coś, czego nie planowałem.

Nie, to nie była miłość, ale troska. Taka prawdziwa i szczerą. Może chodziło o świadomość, że wkrótce będę za nią odpowiedzialny. Może o fakt, że ona sama była bezbronna. W każdym razie pojawiło się to dziwne, ciężkie uczucie, które przez ten czas nie opuszczało mnie na krok.

A dziś nadszedł w końcu ten dzień. Nasze zaręczyny, które miały odbyć się w posiadłości Colettich.

Duży bankiet. Pełna obstawa. Broń ukryta pod marynarkami. Żołnierze krążący wokół domu i wzdłuż ogrodzenia. Ani mój ojciec, ani Vito nie chcieli ryzykować – nie po wydarzeniach ostatnich miesięcy. I choć oficjalnie miało to być nasze święto, dobrze wiedziałem, że nasze zaręczyny pełnią również inną, w ich oczach o wiele ważniejszą funkcję.

Pokaz siły.

Stałem w salonie, poprawiając mankiet koszuli, kiedy ojciec zatrzymał się obok mnie.

– Gotowy? – zapytał, choć obaj wiedzieliśmy, że to pozbawione sensu pytanie.

– Nie – odpowiedziałem szczerze.

Parsknął krótko.

– Nikt nigdy nie jest gotowy, ale to ważny ruch dla naszej rodziny.

Miał rację. Wiedziałem o tym.

Gdyby spojrzeć na całe to małżeństwo czysto biznesowo – to dobry ruch, bo Vito Coletti nie był tylko ojcem Valentiny. Był najlepszym capo w całym New Jersey. Najskuteczniejszym. Najbardziej wpływowym. I najbardziej zachłannym na władzę.

Ojciec wiedział, że władza nie może upaść wraz z jego odejściem. Wiedział też, że młody underboss bez zaplecza to trup, a znajomości i pozycja Colettiego miała mi to zaplecze zapewnić.

Tak więc ten ślub stanowił zabezpieczenie.

Dla mnie.

Dla rodziny.

Jednak tu nie chodziło tylko o mnie, interesy i zasoby. Chodziło również o życie Valentiny u mego boku.

I nagle znowu pojawiła się w mojej głowie doskwierająca myśl, że nie widziałem jej od pięciu miesięcy. Ostatnim razem siedzieliśmy w bibliotece Colettich, gdy w salonie odbywało się spotkanie kilku z naszych ludzi. Wyszedłem stamtąd tylko na chwilę pod jakimś idiotycznym pretekstem, licząc na to, że ją spotkam.

I spotkałem.

Siedziała w sporym fotelu z książką na kolanach. Miała na sobie za duży sweter, w którym niemal tonęła, a niewielka lampa oświetlała jej twarz. Wyglądała tak cholernie niewinnie, że przez chwilę było mi jej

zwyczajnie żal, bo wiedziałem – nie, byłem pewien – że wcześniej czy później ten świat ją zniszczy. Choćbym nie wiem jak bardzo starał się ją przed nim uchronić, to i tak się stanie.

To był ostatni raz, gdy ją widziałem i przez chwilę rozmawialiśmy tak naprawdę o niczym. O pogodzie. O książkach, które czytała. O tym, że nie lubi głośnych miejsc. O tym, co ją lubię, choć wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma wielu takich rzeczy.

Kiedy kilka minut później wychodziłem, spojrzałem na nią raz jeszcze. Wciąż pozostawała tylko... dziewczyną.

Ładną, owszem.

Ale w sposób neutralny. Jak obraz. Jak dobrze zaprojektowany samochód. Coś, co można docenić, nie dotykając.

A teraz miałem zobaczyć ją jako swoją przyszłą narzeczoną.

I jak na zawołanie właśnie w tej sekundzie drzwi do przestronnego salonu się otworzyły. Najpierw ucichły rozmowy. Potem odniosłem wrażenie, że również muzyka. Zupełnie jakby ktoś pociągnął za niewidzialny sznurek i spuścił wokół grubą, ciężką kurtynę, która wyciszyła wszystko wokół.

Podniosłem wzrok i wtedy to zobaczyłem.

Valentina przestała być dziewczynką.

Jej suknia nie okazała się wyzywająca. Wręcz przeciwnie – elegancka, stonowana, idealnie dopasowana. Włosy upięte, szyja odsłonięta, ramiona wyprostowane. Szła spokojnie, z uniesioną głową.

Miała szesnaście lat i nagle różnica była widoczna. Nie tyle w ciele, co w sposobie, w jaki się poruszała. W spojrzeniu, które na moment spotkało moje.

I wtedy coś we mnie zadrżało. Nie pożądanie. Raczej świadomość, że choć nie jest jeszcze dorosła, nie jest też już dzieckiem. A przede wszystkim dotarło do mnie, że to dziewczyna, którą za dwa lata poślubię.

Tym razem to ona z końca pomieszczenia skinęła do mnie głową.

Odpowiedziałem tym samym i chciałem od razu do niej podejść, ale nagle poczułem ciężką dłoń na ramieniu. Z grymasem, który szybko opamnowałem, spojrzałem na ojca.

– Na przyjemności jeszcze przyjdzie czas – powiedział cicho, pozwalając sobie tym komentarzem na pewną dwuznaczność. – Ale teraz, Marcellusie, musimy porozmawiać z kilkoma ludźmi.

Przelknąłem cisnący mi się na usta komentarz, za który z pewnością zostałbym publicznie ukarany, i przytaknąłem. Nie chodziło już nawet o imię, którym mnie nazywał, a którego szczerze nienawidziłem. Chodziło o to, co sugerował... O to, jak pomyślał o Valentinie.

Zerknąłem na nią raz jeszcze, jakbym musiał się upewnić, że wciąż tu jest i czuje się... bezpiecznie, a potem ruszyłem za ojcem.

Wszystkie rozmowy szybko zlały się w jednostajny szum. Nazwiska, trasy, pieniądze, ostrzeżenia – w pewnym momencie przestałem ich słuchać, a jedynie potakiwałem, bo myślami znajdowałem się gdzie indziej.

Zerknąłem w stronę Valentyny. Stała w otoczeniu kobiet i uśmiechała się grzecznie, dokładnie tak, jak tego od niej oczekiwano.

I wtedy dotarło do mnie coś, czego wcześniej nie chciałem nazwać.

Ona nie była tu dla mnie.

Była tu przeze mnie.

Nagle ciężar tej myśli osiadł mi na klatce piersiowej mocniej niż wszystkie dotychczasowe rozmowy o wojnie, którą toczyliśmy przez ostatnie miesiące. Bo niezależnie od tego, jak bardzo próbowałbym trzymać ją z dala od tego świata – dziś oficjalnie wciągałem ją w sam jego środek. I może ja też nie miałem zbyt wielkiego wyboru, ale poczułem się... winny.

Patrzyłem na nią, gdy podniosła na mnie wzrok.

Chciałem do niej podejść, ale nie mogłem. Nie w tej chwili. Jednak patrząc jej w oczy, po raz pierwszy pomyślałem, że jeśli ten świat ma ją złamać, to najpierw będzie musiał przejść przeze mnie.

– Marcellusie – upomniał mnie ojciec, dlatego szybko skupiłem się na rozmowie, która od jakiegoś czasu toczyła się bez mojego udziału.

Mijały kolejne minuty, gdy w końcu ojciec wyszedł na środek salonu.

Nie musiał podnosić głosu. Sam fakt, że stanął pośrodku pomieszczenia, wystarczył. Rozmowy zaczęły cichnąć jedna po drugiej. Ludzie prostowali się odruchowo, poprawiali marynarki, a kobiety się rozdzieliły i wróciły do swoich mężów.

– Kieliszek – powiedział krótko, a kelner natychmiast znalazł się przy nim.

Gdy tylko szampan znalazł się w jego dłoni, pozostali kelnerzy zaczęli roznosić kieliszki między gośćmi. Wszyscy wiedzieli, co zaraz nastąpi. Ja również, dlatego przeszedłem przez salę pod czujnym okiem swego ojca i Vita, a także wszystkich zebranych gości, i stanąłem przy Valentinie.

A kiedy ostatni kieliszek został wręczony, ojciec uniósł swój.

– Rodziny de Angelis i Colettich od lat budują swoje pozycje na lojalności, krwi i wzajemnym szacunku... – zaczął spokojnie, nisko, ale tak, że każde słowo niosło się po salonie.

Zatrzymał na moment spojrzenie na Vito, który skinął głową.

– Dziś te rodziny łączą się oficjalnie.

Cisza była absolutna.

– Marcello – zwrócił się do mnie. – To odpowiedni moment.

Spojrzałem na Valentine, a ona słabo się uśmiechnęła, jakby próbowała dodać mi otuchy, choć to ja powinienem ją wspierać. Powoli wyjąłem pierścionek. Złoto zaśniło w świetle żyrandola.

– Valentino Coletti – powiedziałem wyraźnie, ujmując jej dłoń. – Przyjmij ten pierścionek jako znak naszych zaręczyn i przyszłego małżeństwa.

Nie pytałem. Po prostu wsunąłem pierścionek na jej palec.

W tej samej chwili ojciec uniósł kieliszek wyżej.

– Za jedność rodzin! – oznajmił.

– Za jedność! – odpowiedzieli goście niemal chórem.

Rozległy się brawa. Kieliszki z brzdękiem obijały się o siebie w toastach, a rozmowy wróciły, głośniejsze niż wcześniej. I to był moment, w którym wszyscy przestali na nas patrzeć.

Położyłem dłoń nisko na jej plecach. A ponieważ suknia miała głębokie wycięcie, pod palcami poczułem jej skórę – ciepłą, miękką, zaskakująco delikatną. Serce zabiło mi szybciej, ale nie cofnąłem ręki.

Spojrzałem na nią uważnie.

Na jej policzkach pojawił się jedynie lekki rumieniec, ale się nie spięła. Nie odsunęła. A skoro nie przekroczyłem granicy, ostrożnie nachyliłem się, tak by nikt poza nią mnie nie usłyszał.

– Jeśli w którymkolwiek momencie poczujesz się niekomfortowo... – urwałem na sekundę – wystarczy jedno twoje słowo.

Skinęła głową, a potem powiedziała coś, co wkrótce miało mnie prześladować.

– Dziękuję.



Lipiec 2015 roku

Od czasu naszych zaręczyn minęło osiem miesięcy. Za kilka kolejnych Valentina miała skończyć siedemnaście lat. Teoretycznie nic się nie musiało zmieniać, bo nikt nie wymagał, żebyśmy w międzyczasie utrzymywali kontakt.

Zaręczyny były formalnością. Ślub również.

I mogłem żyć swoim życiem, a ona swoim – choć mocno się one od siebie różniły. A jednak mimo utrudnień, zakazów i czujnych spojrzeń, znajdowaliśmy sposoby, żeby się widzieć. Czasem przypadkiem. Czasem pod pretekstem.

Problem polegał na tym, że w ostatnio zaczęliśmy robić to bez wiedzy naszych ojców.

Bez przyzwolitki. Bez żołnierzy krążących w tle. Bez świadków – świadomie, łamiąc zasady, które sami mieliśmy kiedyś egzekwować.

Dla Valentyny stanowiło to źródło napięcia. Widziałem to w sposobie, w jaki rozglądała się na boki, w jej przyspieszonym oddechu, w tym, jak ściszała głos, nawet gdy byliśmy sami.

Dla mnie to wszystko też okazało się czymś innym. Nowym. Bo lubiłem z nią rozmawiać. Lubiłem spędzać z nią czas, nawet gdy tylko milczeliśmy. Lubiłem to, jaka przy mnie była.

Tego wieczoru złamałmśmy kolejną granicę – choć ja złamałem ich o wiele więcej, włamując się na posesję Colettiego. Wykorzystałem krótką, kilkuminutową lukę w ochronie, gdy żołnierze się zmieniali.

Przeszedłem przez ogrodzenie, jak gówniarz, skradając się do dziewczyny, która i tak należała do mnie. Może to dla kogoś brzmieć tak, jakbym ją uprzedmiotawiał, ale ten świat zrobił to wcześniej, a ja... Ja starałem się być kimś jej godnym. Kimś, na kim się nie zawiedzie i na kim będzie mogła polegać. A dziś mnie potrzebowała. Słyszałem to w jej tonie głosu, gdy jakieś dwie godziny wcześniej rozmawiała ze mną przez telefon. Czułem, że coś się stało, choć próbowała mi wmówić, że wszystko jest okej.

Nie było.

Wiedziałem to w momencie, gdy zobaczyłem jej zaczerwienione, załzawione oczy i lekko opuchnięty policzek.

– Kto? – zapytałem krótko, zanim zdążyłaby mnie opieprzyć za to, że niemal w nocy wkradłem się jak cholerny złodziej do jej pokoju, wiele ryzykując.

Wolałem nie myśleć, co by zrobili Vito i mój ojciec, gdyby mnie przyłapali.

– Co ty tu robisz? – szepnęła, wyraźnie zdenerwowana.

Szybko poderwała się z łóżka i podeszła do drzwi, a następnie je zakluczyła.

– Kto ci to zrobił? – powtórzyłem, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Narastały we mnie adrenalina i złość. To było niebezpiecznie, ale świadomość, że ktoś ją uderzył, że ktoś zrobił jej krzywdę, w jakiś sposób mnie bolała. Nie rozumiałem tego, ale właśnie tak było.

Milczała i to milczenie okazywało się gorsze niż krzyk.

Stała przede mną boso, w koszulce i spodenkach, które pewnie były jej piżamą, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jakby próbowała się przed czymś ochronić.

– Nic się nie stało – wydusiła w końcu.

To „nic” jednak miało kolor siniejącego policzka.

Zrobiłem krok w jej stronę. Automatycznie. Odruchowo. Jakby coś we mnie pękło.

– Val – powiedziałem ciszej. – Nie kłam.

Odwrociła wzrok.

I wtedy zobaczyłem, że jej dłoń zadrżała, gdy poprawiała ramiączko bluzki, które się osunęło. Zobaczyłem, że wzięła krótszy oddech. Że prawdopodobnie właśnie w tej chwili walczyła sama ze sobą.

– To nie jest twoja sprawa – wyszeptała.

Była moja.

Nie w tym znaczeniu, jakie świat próbował nam narzucić. Nie jak własność, lecz obowiązek. Jak odpowiedzialność – i choć nikt mnie nie pytał, czy chcę, i tak ją przyjąłem.

Podszedłem jeszcze bliżej. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy bezpieczna odległość została już przekroczona. Gdy nasze ciała niemal stykały się ze sobą.

– Kto? – powtórzyłem spokojniej, ale wciąż z wyczuwalnym napięciem.

W końcu spojrzała mi w oczy.

– Ojciec – powiedziała.

Tyle wystarczyło.

Zamierzałem się odwrócić. Nawet już zacząłem to robić, gdy nagle poczułem jej dłoń na ramieniu. Jej zaciskające się palce. A potem usłyszałem cichy, a jednocześnie błagalny głos.

- Nie możesz do niego iść.
- Oczywiście, że mogę – parsknąłem.

Wściekłem się. Oczywiście nie na Valentine, tylko na Vita i na samego siebie.

- Nie, nie możesz – powtórzyła twardo.

Było to na tyle zaskakujące, że ponownie na nią spojrzałem, marszcząc brwi.

– Myślisz, że nie wiem, skąd ten ślub? Dlaczego akurat ja mam zostać twoją żoną? Nie jestem głupia – prychnęła cicho, nieśmiało kręcąc głową. – Wiem, że musisz mieć mojego ojca po swojej stronie, a ja mam ci to zapewnić.

Znieruchomiałem. Chciałem coś powiedzieć, zaprzeczyć temu, ale miała rację. Częściowo. Stanowiła element większej układanki, ale dla mnie już od dłuższego czasu nie była tylko kartą przetargową. Stała się o wiele ważniejsza. I fakt, teraz nie mogłem zdradzić się ze swoją obecnością w tym domu, choć miałem ochotę własnoręcznie zabić jej ojca. Jednak obiecałem sobie, że przy najbliższej okazji rozwiążę ten problem. Że nigdy więcej jej nie dotknie.

– Od tego się zaczęło – westchnąłem, uznając, że muszę coś powiedzieć. – Od interesu. Od potrzeby połączenia naszych rodzin, ale dobrze wiesz, Val, że już od dawna nie chodzi tylko o to. Może dla naszych ojców liczy się jedynie to, ale nie dla mnie. I chyba również nie dla ciebie.

Przez chwilę milczała, niepewnie patrząc mi w oczy. Miałem wrażenie, że moje słowa ją zestresowały, ale w końcu lekko skinęła głową.

Odetchnąłem z ulgą.

- Za co? – zapytałem, wskazując na jej policzek.

Wzruszyła ramionami, ale to był wyuczony gest. Jakby robiła to już setki razy.

- Za to, że zadałam pytanie.

Zacisnąłem zęby.

Przez chwilę nic nie mówiłem, bo wiedziałem, że jeśli się odezwę, padną słowa, które w jej towarzystwie nie powinny paść. W końcu wyciągnąłem do niej dłoń i dotknąłem jej policzka opuszkami palców. Delikatnie. Jakby stworzono ją z porcelany. Jakby mogła się rozsypać pod byle naciskiem.

- Przepraszam – powiedziała nagle.

To mnie uderzyło.

– Dlaczego mnie przepraszasz?

– Bo musiałeś tu przyjść – wyszeptała. – Bo... bo jestem dla ciebie problemem.

Odsunąłem dłoń tylko po to, żeby ująć jej twarz obiema rękami. Wstrzymała oddech.

– Nigdy – zaznaczyłem. – Nigdy więcej nie mów czegoś takiego.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Nie jesteś problemem, Val. I nawet tak nie myśl.

Milczała.

A potem, zupełnie nieplanowanie, oparła czoło o moją pierś.

Szttywno. Nieśmiało. Jakby sprawdzała, czy może. Czy jej nie odepchnę.

A gdy poczułem, że jej ramiona się rozluźniły, położyłem dłoń na plecach, a drugą oparłem na talii i przyciągnąłem ją bliżej. Jej dłonie zacisnęły się na mojej koszuli, gdy cicho westchnęła. Wtedy wiedziałem jedno – od tej chwili wszystko, co wydarzy się między nami, będzie miało swoje konsekwencje.